CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 20 GR.

ROK XXII **ŚWIAT** № 35

WARSZAWA, DNIA 27-go SIERPNIA 1927 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO



Fantazje i Rzeczywistość

Mam wrażenie, że my tu w Warszawie za rzadko zaglądamy do prasy kresowej, traktując ją wyłącznie jako źródło wiadomości o życiu na prowincji. Tymczasem na łamach prasy kresowej, często znaleść można poważne i rzeczowe dane i opinje o stosunkach i zagadnieniach, które obchodzą nietylko kresy wschodnie, ale i całą Polskę. I tak np. w „Słowie" wileńskiem zamieszczoną była przed kilku tygodniami bardzo interesująca relacja z walnego zebrania „Związku Polaków zakordonowych", na którem toczyła się ciekawa dyskusja o traktacie ryskim i o jego zgubnych skutkach dla naszego narodu. Relacja ta minęła prawie niepostrzeżenie. Spróbujmy naprawić ten błąd.

Śród mówców na zebraniu wileńskiem wyróżnił się krewkością swoich wystąpień znany publicysta i działacz z obozu monarchistycznego p. Mirosław Obiezierski. Uderzył on bardzo silnie na polskich współtwórców traktatu ryskiego. „Przeklęte partyjnictwo! — wołał — zakuło odrodzoną Polskę w ten łańcuch. Załamał się impet. Nie doszliśmy tam, gdzieśmy, wziąwszy raz rozpęd, powinni byli zajść: do granic z roku 1772. Sami sobie rzuciliśmy kłody pod nogi".

Wobec takiego *dictum acerbum* obecny na zebraniu ks. Eustachy Sapieha, przywódca konserwatystów wileńskich, który w roku 1920 sprawował urząd ministra spraw zagranicznych, uznał za stosowne dać pewne wyjaśnienia o warunkach, w jakich się odbył poród traktatu ryskiego. Zawarcie pokoju było smutną koniecznością. Kraj tego żądał. Położenie rządu polskiego było bardzo ciężkie. Trzeba dziś wyznać: do prowadzenia wojny brakowało nam nieodzownego materjału wojennego. We Francji leżały wprawdzie przeznaczone dla Polski zapasy amunicji, ale nie było sposobu ich sprowadzić (czy nie przyszedł już czas wyjaśnić, dlaczego tak się stało?). Przeszedłszy straszliwą katastrofę odwrotu, a potem zdobywszy się na bohaterskie odparcie bolszewików, Polska, zdaniem ks. Sapiehy, uczyniła wówczas maximum tego, na co siły ludzkie zdobyć się mogły.

Nad wyjaśnieniami ks. Sapiehy i nad namiętnem oskarżeniem, rzuconem przez p. Obiezierskiego, niepodobna przejść spokojnie do porządku.

Kto był winowajcą i na czem polegała wina?

Jak wiadomo, rokowania pokojowe w Rydze prowadził p. Jan Dąbski, poseł ludowy, naprzód sam, a następnie z p. Stan. Grabskim, posłem nar.-dem. W pojęciu całego ziemiaństwa kresowego obaj ci panowie niosą odpowiedzialność za zawarcie „oburzającego traktatu", do którego powinni byli i mogli byli nie dopuścić.

P. Zadora w „Czasie" krakowskim, omawiając tę kwestję, twierdzi, że traktat ryski mógł był być inny, dla Polski korzystniejszy, gdyby nie wysłano do Rygi „notorycznych analfabetów politycznych i ślepych doktrynerów". Opinja p. Zadory jest zbyt ogólnikowa, nie mówiąc już o jej namiętnej ostrości, aby mogła być w danym wypadku wystarczającem świadec-

twem. Nie rozróżnia ona dwóch kwestji, będących przedmiotem sporu na zebraniu wileńskiem: sprawy restytucji przedrozbiorowego państwa polskiego i wytworzonej przez traktat sytuacji obywateli polskich, którzy znaleźli się po tamtej stronie granicy.

Jako kierownik polityki zagranicznej, działający w ścisłem i nieustannem porozumieniu z Naczelnikiem Państwa, kom. Piłsudskim, ks. Sapieha wiedział dobrze, w jak fatalnych warunkach militarnych znajdowała się Polska w chwili, kiedy hordy bolszewickie przedarły się przez jej granice. Wiedział czem się skończyła konferencja w Spaa, teroryzowana przez Lloyda George'a, który stał wtedy u szczytu swej potęgi. Wiedział, że zorganizowane masy robotnicze na Zachodzie były przeciwne wszelkiej interwencji na korzyść Polski lub pomocy dla niej i groziły bojkotem w razie ładowania na okręty i do wagonów materjału wojennego, przeznaczonego dla Polski. Więc można wierzyć ks. Sapieże, kiedy mówi, że siły zbrojne Polski były zbyt wycieńczone dla prowadzenia nowej wojny, że przeciąganie pertraktacji z bolszewikami było połączone z wielkiem ryzykiem.

To jest teza, którą trudno obalić, chyba z dowodami przeciwnemi w ręku.

Ale co znaczą pełne goryczy żale, które rozbrzmiewały na zebraniu wileńskiem, żeśmy nie dotarli (teoretycznie, na kartach traktatu ryskiego) do granic 1772 roku i musieli się zadowolnić linją drugiego rozbioru?

Smutno, że po dziesięciu latach istnienia odrodzonego państwa polskiego, którego najwyższą troską jest utrwalenie naszego istnienia w granicach, ustalonych przez międzynarodowe traktaty, snują się znowu fantazje, mogące sprowadzić zamęt w polskich umysłach i zatrwożyć naszych przyjaciół zagranicą.

Czy dotarcie do granic 1772 roku byłoby dla Polski celowe i korzystne?

Pomyślmy, coby się stało, gdyby do Rzeczpospolitej wcielone zostały ogromne obszary etnograficznie niepolskie. Dziś mamy wielkie trudności z asymilacją „Kresów wschodnich". O ileżby one wzrosły, gdyby żywioł obcy pomnożył się w Polsce o kilkanaście miljonów i jakieby konsekwencje pociągnął za sobą fakt podniesienia się procentu mniejszości narodowych, które dziś stanowią trzecią część ludności Państwa, do 50 procent i wyżej....

Kwestja restytucji państwa polskiego z roku 1772 nie jest kwestją realną. Ale najzupełniej realną pozostaje kwestja położenia ziemiaństwa polskiego, które od wielu pokoleń żyło w obrębie rosyjskiego imperjum i przez traktat ryski, zostało odcięte od swej polskiej macierzy. Niema w społeczeństwie polskiem nikogo, prócz socjalnych ekstremistów, coby nie uznawał, że pomimo prześladowań, bracia nasi z zakordonu trzymali wysoko polski sztandar narodowy i kulturalny. Nie ma serca polskiego, któreby nie odczuło głęboko strasznej krzywdy, którą wyrządził traktat ryski, naszym kresowcom wyzutym przez bolszewizm z ziemi rodzinnej, bez jakiegokolwiek odszkodowania, pozbawionym warsztatu pracy i skazanym na tułaczkę i poniewierkę. Czy przedstawiciele nasi podczas rokowań pokojowych w Rydze mogli złemu zapobiedz, prawo własności polaków zabezpieczyć i odszkodowanie przeprowadzić? Czy mogli chociażby uzyskać pewne zmiany w konfiguracji granicy? O tem sądzić nie można z dorywczych i zazwyczaj stronnych informacyj. Jeżeli są jakie dane dokumentalne, to pokryte są tajemnicą, i tajemnica ta leży gdzieś na dnie tajnych archiwów państwowych.

A jednak musi przyjść chwila, kiedy zdarta zostanie zasłona z rokowań polsko - sowieckich w Rydze o zawarcie traktatu pokoju.

Świątosław

Z WYWCZASÓW W TRUSKAWCU



J. Lorentowicz, dyrektor teatru Narodowego i W. Drabik, znany art. dekorator na kuracji w Truskawcu

Kim jest Benito Mussolini?

Wódz faszyzmu, prezes rady ministrów włoskich Benito Mussolini, jako indywidualność ludzka, budzi szerokie zainteresowanie nietylko w swojej ojczyźnie. Kim jest ten dziwny, mocny człowiek? Opanował on Włochy współczesne i rządzi tym krajem niepodzielnie. Rządy jego nasuwają różne wątpliwości, zastrzeżenia, uwagi. Ma on oddanych, ślepych wyznawców i nieprzejednanych wrogów.

Ukazała się obecnie w polskim przekładzie słynna już we Włoszech biografja B. Mussoliniego, pióra Małgorzaty Sarfatti p. t. „Dux". Książka ta jest przepełniona adoracją dla wodza faszystów. Pisała ją kobieta, blizka współpracowniczka Mussoliniego w pismach, jak „Avanti" i „Popolo d'Italia". Na życie i działalność „Wodza" patrzyła wiele lat z dnia na dzień, widziała go w różnych okolicznościach. Zmienna fortuna twardą ręką nieraz imała się grzbietu Benita. Wydalono go z Lozanny, jako niebezpiecznego socjalistę, przyjaciela anarchizujących studentów rosjan, a później witano z honorami, jako szefa rządu włoskiego. Nieraz siadywał za kratką Mussolini. Teraz sadza swoich przeciwników. Jako syn wiejskiego kowala niezawsze dojadał, a mieszkał w obskurnej chatynce. Teraz pałac książąt Tosrlonia jest jego mieszkaniem.

Życie B. Mussoliniego obfituje, istotnie, w duże przeciwieństwa. Nic w tem dziwnego. Człowiek ten na czele pisma swojego „Popolo d'Italia" powoływał się na hasło: „Kto ma żelazo, ten ma chleb". Uważał przytem, że „nie może dotrzeć do mas ten, kto nie zdolny jest do czynów zdecydowanych, natychmiastowych, do ciosów bezpośrednich. Rozsądna przezorność nie zda się tu na nic".

Hasła te rzucał dlatego, że „chciał, aby te Włochy, które kochał, mogły spełnić obowiązek ogólnie uznany: wybawienia swych synów od podwójnego ubóstwa — moralnego i ekonomicznego".

Jest ciekawe i wielce charakterystyczne, że „Mussolini nie jest człowiekiem humoru, ani też człowiekiem dowcipu w sensie francuskim". Nie należy do ludzi towarzyskich. Ideje jak i wykształcenie zawdzięcza nie szkołom, uniwersytetom, lecz własnemu samouctwu.

Książka p. Małgorzaty Sarfatti idealizuje w pewien sposób sylwetę „Wodza". Już w dzieciństwie jego stara się uwypuklić rysy, znamionujące charakter. Wystarczy jej przytem wiadomość, że Mussolini, jako chłopak, kradł owoce w ogrodach sąsiadów, by podnieść jego inicjatywę, wolę. W biografji jej, pełnej adoracji dla Mussoliniego, uderza nieustanne powoływanie się na moralny stan psychiki tego człowieka. Chodzi jej o bohaterskość. Odpowiednie cytaty ułatwiają jej znakomicie zadanie.

Niekiedy cytaty te budzą grozę. Czyż można bowiem bez komentarzy powtarzać dziś wszystkie odezwania się Mussoliniego - rewolucjonisty?

Uczeń Nietschego i Sorela, gorliwy interpretator K. Marxa — wyrósł na Wodza faszystów. Duchowa sylweta jego, nawet w interpretacji adorującej M. Sarfatti, zaciekawia. Indywidualność mocna zawsze budzi refleksje. Warto jednak, by również służyła za przedmiot uważnej krytyki. Nie wszystko jest bowiem jasne, co zostało dokonane przez Wodza B. Mussoliniego.

Dr. Z. M.

Współczesne malarstwo angielskie:

Portrety pań z towarzystwa londyńskiego



L. Baumer: Portret z czarnym szalem



J. Lavery: Portret p. B. Hamilton



Simon Elwes: Portret Lady Lettik Lygon



J. Mac Bey: Portret p. Art. Howard



Święty Krzyż. Widok klasztoru od wschodu Fot. M. Wiśznicki

Znany jest w Rodenbachowskiem *„Umarłem Mieście"* opis słynnej procesji *„Krwi Przenajdroższej"* w Bruges. Ale silniejszego wrażenia, niż czytelnik, doznaje podróżnik, który naocznie przygląda się, w cudownej kaplicy *„Świętej krwi"* (du Saint Sang), obok Ratusza flamandzkiego miasta, uroczystości wystawienia ku czci publicznej tej starożytnej, przecennej, z dziejami Krucjat złączonej Relikwi Chrystusowej Krwi. W półmroku kaplicy, wśród jarzących się świec i wobec tego małego kryształowego relikwiarza, przychodzi mimowolnie a wszechwładnie na myśl Paskalowe Słowo: *„j'ai versé telle goutte de Sang pour toi"* — Wylałem za Ciebie tę oto kroplę mej krwi....

Silne jest wzruszenie pielgrzyma czy wędrowca nawet, który znajdzie się rankiem, w pierwszy piątek jakiegokolwiek miesiąca, w podominikańskim kościele w Lublinie. Słynie on zdawna tem, że posiada największą w Europie (po Rzymie) cząstkę drzewa Krzyża Świętego. Olbrzymi srebrny relikwiarz wyjęty jest podówczas z szafki w bocznym, kaplicznym ołtarzu, i umieszczony na podjum. Wierni zbliżają się i całują małą lunetę kryształową, która pozwala to dziwnie zabarwione drzewo rozpoznać. Znane są prace archeologów nad Relikwiami drzewa Krzyża Świętego. Doprowadziły one do tego tylko rezultatu, że jest to zbiór kilku essencji nieznanych, może cedru, które wiele wieków musiały w wodzie spoczywać i stwardniały tam całkowicie. Tak więc, zgodnie z podaniem, drzewo Chrystusowego krzyża, które, jak ktoś słusznie zaznaczył, stało się pierwowzorem wszelkich „krzyżów zasługi", składałoby się z kilku odmiennych gatunków drzewa, zbitych razem i zakonserwowanych w tajemniczych sadzawkach.

Ale nim zasłynął podominikański kościół lubelski ze swej Relikwji, daru któregoś z Prymasów, jeśli się nie mylimy, posiadała Polska, zdawien dawna, historyczne dla niej relikwie drzewa Krzyża Świętego. A stało się to tak, wedle pięknej legendy, tem piękniejszej, że zbliża swym wątkiem nasz kraj do innych krajów dawnego Chrześcijaństwa.

Zaprosił oto Król Bolesław Chrobry synowca swego, Św. Emeryka, królewicza węgierskiego, Stefanowego syna, do Polski. Razem ruszyli na łowy z Krakowa w Kieleckie. Kielce już istniały, jako posiadłość krakowskich biskupów, ale od Kielc po Sandomierz rozciągały się wielkie bory i puszcze na obu zboczach Świętokrzyskich Gór. Właśnie w te odwieczne lasy zapuścili się książęta — tam, kędy dziś *„Jodłowa Puszcza"* stoi. Królewicz węgierski stracił kontakt z orszakiem, pognał za jeleniem, który się gdzieś ukazał i znikł. I oto znów jeleń stanął w świetle i krzyż zabłysnął w jego rogach tak, jak to było z Hubertem leodyjskim i jak się rzecz miała z Eustachym het. staro - rzymskim, w którego „legendzie" i dziś się ludziska zaczytują, jak zaczytywali się ongiś. Wszak to jedna z najdawniejszych chrześcijańskich powieści.

Stanął Książę i struchlał, bo znalazł się sam w nieznanem, zagąszczami pokrytem miejscu i drogi mu już nie stać było do Kielc. A miał na szyi relikwiarzyk mały i w nim pięć drobnych cząstek drzewa prawdziwego Krzyża, jedną nawet ze śladami krwi, jak ten Cierń Chrystusowy we Włoskiej Andrii podobne wykazuje... Dał był mu je ojciec, święty król Stefan, na drogę daleką, dostawszy go sam z Rzymu pono, wraz z królewską koroną. Otto III wręczał Chrobremu tak zwaną *„włócznię Św. Maurycego"* jako symbol władzy. Papież mógł Stefanowi prawdziwe drzewo krzyża wysłać. Taki był zwyczaj.

I chwycił może książę w swej trwodze i zadziwieniu święty krzyżyk w ręce, bo zaląkł się i zadziwił i zafrasował wielce, drogi nie mając i zjawisko tak niezwykłe widząc, szczególniej, że mu jeleń ponownie z oczu znikł... Krzyż między jego rogami świetlny, czyż to nie znak, że Krzyża chwytać się trzeba?

Aż oto staje Anioł przy Emeryku i mówi: „tędy droga na Kielce, ruszaj, jedź, spinaj wierzchowca twego, ale Relikwie twoje tutaj zostawić musisz — tu ich miejsce— Ruszaj a powiadom o tem, com rzekł, Krakowskiego Biskupa!"

***

Tyle legenda. I oto powstał kościół, gdzie złożono relikwie i opactwo benedyktyńskie przy nim. Miano doń mnichów włoskich sprowadzić prosto ze słynnego Monte Cassino. A tradycja dodaje, że owa *Łysa Góra* (tyle co Jasna Góra ma znaczyć, twierdzą lingwiści, nazwa często pod tą czy inną formą w Polsce i na Rusi nawet spotykana), co miała zmienić swą nazwę na Górę Świętego Krzyża i z nią pasmo gór całe, w niezbadane kruszce bogate, niegdyś, przed Mieszkiem jeszcze była osiedlem starego kultu pogańskiego a jeszcze raz poprzednio stolicą wielkoludów i fortecą jakichś złośliwych olbrzymów...

***

Zobaczymy, że co do złośliwych olbrzymów, to powtórzyła się historja. Co mówi historja? Znawca doskonały religijnej przeszłości Polski, ks. kan. Dr. Jan Fijałek, prof. Uniwer. Jagiel., nie waha się twierdzić, że tem, czem dla późniejszej Polski stała się Częstochowska Jasna Góra, tem dla Polski pierwotnej, od czasów Krzywoustego począwszy, był *Święty Krzyż na Łysej Górze*. Fakt faktem, że tutaj a nie gdzieindziej skierował swe pielgrzymie kroki Jagiełło, gdy gotował się do wyprawy grunwaldz-



Łysagóra z klasztorem od strony Starej Słupi

kiej. Oto co nam Długosz w tej materji mówi:

„Po ośmiodniowym obchodzie uroczystości Bożego Ciała, w sobotę przed dniem św. Wita (t. j. 14 czerwca), Władysław, król polski, opuścił Nowe Miasto Korczyn, wybierając się na wojnę przeciw Krzyżakom. Naprzód więc przez Stopnicę i Szydłów przybył do Słupi, gdzie zatrzymawszy się przez kilka dni, pieszo odprawił pielgrzymkę na Łysą Górę do klasztoru Św. Krzyża. Od świtu samego klęcząc w kościele przez dzień cały, modlił się i rozdawał jałmużny, a siebie i sprawę wszystką polecał boskiej Krzyża św. obronie: nie powstał od modlitwy, ani wrócił z klasztoru dla przyjęcia posiłku, aż o zmroku, postem całodziennym i umartwieniem osłabiony" (z XI-ej księgi *„Dziejów Polski"* Jana Długosza — *„Bitwa pod Grunwaldem"* wyd. prof. Jana Dąbrowskiego w *„Bibliotece Narodowej"* Serja I, Nr. 31, str. 56). A dalej:

„Z klasztoru Łysej Góry Św. Krzyża, we czwartek, w dzień św. Gerwazego i Protazego (t. j. 19 czerwca) ruszywszy, Władysław, król polski przybył do Bodzęcina....." Dalej szedł na Bliżyn, Żarnów do Sulejowa (tamże str. 59).

Tak więc Św. Krzyż na Łysej Górze zajął miejsce pierwszego obywatelstwa w dziejach grunwaldzkich. Koleguje w tem opactwo Łysogórskie z opactwem Czerwińskiem nad Wisłą, gdzie Jagiełło spotkał się z Witoldem i gdzie wespół z biskupem płockim, płomiennomównym Jakóbem, święto Nawiedzenia Najśw. Panny Marji odprawiał.

Gdy wojna zniszczyła Kollegiatę Wiślicką, tak pamiętną w dziejach Polski, zorganizował się komitet odbudowy, który w swej odezwie nie szczędził gromkich słów.

To, co uszło z pożarów, pożóg wojennych, rozbiorów, z austryjackich rabunków przed 1809 r. i z rosyjskich porządków po 1863 r., zniszczało w wojnie światowej. Św. Krzyż, t. j. kościół i kapelania zrujnowane zostały przez wojsko austryjackie i gwałtownie dziś potrzebują pomocy.

Warto, by społeczeństwo nasze oraz czynniki miarodajne świeckie i kościelne zainteresowały się tą sprawą.

A. B. R.

◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆

† HRABIA ARMAND GUILLAUME DE GONTAUT BIRON

Dnia 13 sierpnia umarł po krótkiej, lecz ciężkiej chorobie hr. Armand Wilhelm de Gontaut Biron, attaché handlowy przy Ambasadzie francuskiej. Ci wszyscy, którzy znali P. de Gontaut Biron głęboko odczuli stratę. Odszedł człowiek o wielkiem sercu, patryota, przyjaciel Polski, wyrwany nagle kochającej rodzinie, życzliwym przyjaciołom i przywiązanemu otoczeniu.

Hr. Armand Wilhelm de Gontaut Biron był wnukiem pierwszego ambasadora Francji, wysłanego do Berlina po wojnie 1870 roku. Odbył poważne studja, przerwane ciężką chorobą, która zmusiła go do przebywania w Szwajcarji, gdzie też się zajmował w czasie wypowiedzenia wojny. Stan zdrowia nie pozwalał mu wziąść udziału w szeregach walczących. Pomimo choroby kończył studja, specjalizując się w aeronautyce. Otrzymał tytuł inżyniera. Mianowany attaché przy Konsulacie Francuskim w Zurichu, oddaje na tej placówce wielkie przysługi propagandzie na rzecz Francji.

W październiku 1919 p. Gontaut Biron przybywa do Polski. Pełni przez pewien czas funkcję administratora dziennika „Le Journal de Pologne", wkrótce zostaje mianowany pomocnikiem, a następnie attaché handlowym. Na tej to właśnie placówce, tak delikatnej, wymagającej rozległych wiadomości, usilnej pracy i zmysłu orjentacyjnego, p. Gontaut Biron wykazuje miarę swych wrodzonych zdolności.

Bierze czynny udział przy opracowaniu konwencji handlowej francusko-polskiej, która po długich debatach została podpisana dn. 9 listopada 1924 r. P. de Gontaut Biron zawdzięczamy wiele ważnych punktów powyższej konwencji, dających satysfakcję obu stronom traktującym. Wiadomo jest ogólnie, że konwencja przyniosła wielkie korzyści w stosunkach ekonomicznych obu państw. Zdolność jasnego przewidywania wzajemnych potrzeb oraz dokładna znajomość trudności do pokonania, przyczyniła się bardzo do tak szczęśliwego rezultatu.

W biurach swych przy Al. Ujazdowskich p. de Gontaut Biron uprzejmie przyjmował licznych przemysłowców, handlowców, parlamentarzystów, dziennikarzy polskich i francuskich, przybywających po informacje lub wywiad. P. de Gontaut Biron zorganizował biuro informacyjne, adresowe, statystykę. W sporach tak często zachodzących pomiędzy dostawcami a klientami interwencja jego była zawsze owocną i powstrzymała wiele procesów sądowych, tak kosztownych dla obu stron. Import francuski zawdzięcza mu najkorzystniejsze ustalenie kontygentu. Dla exportu artykułów polskich uczynił również wiele, gdyż prawie rok rocznie urządzał tournée po Francji, wygłaszając odczyty w głównych miastach jak: Roubaix, Lille, Tourcoing, Strasburg, Metz, Colmar, Lyon, St. Etienne, Dijon, Bordeaux, Toulouse, Reims,



ś. p. A. G. hr. Gontaut-Biron

etc... Odczyty te uczęszczane przez doborową publiczność, uświadamiały o Polsce i o jej bogactwach naturalnych.

P. de Gontaut Bron brał czynny udział w organizowaniu Sekcji francuskich na targach we Lwowie, Poznaniu i Bydgoszczy. Z oddaniem dopomagał rozwojowi Izby handlowej polsko - francuskiej; prezes tej instytucji, p. B. Herse złożył mu wzruszające słowa uznania.

Mianowany przez rząd francuski na stanowisko Attaché de l'Air potrafił i na tem stanowisku oddać wielkie przysługi rozwojowi aeronautyki francuskiej i polskiej.

Potomek starej rodziny francuskiej, nosił godnie imię, które zdobi tyle pięknych stron historji Francji. Prócz wszystkich zalet ducha, rozumu i inteligencji, posiadał złote serce, wrażliwe na wszelkie nieszczęścia, którym zapobiegał i dopomagał w miarę swych możności. Rząd Polski przyznał p. de Gontaut Biron krzyż oficerski Polonia Restituta, a ostatnio mianował go komandorem tegoż orderu.

Inne jeszcze odznaczenia ze strony władz francuskich miały uwieńczyć jego pracę o tak skutecznych wynikach. Nieubłagana śmierć, przerwała nagle nić użytecznego żywota.

Paul Simon

50-LECIE RADOMSKIEJ STRAŻY POŻARNEJ OCHOTNICZEJ



Dnia 14 i 15 b. m. z racji jubileuszu 50-lecia istnienia straży ochotniczej pożarnej w Radomiu, odbyły się uroczystości, podczas których straż popisywała się pokazami alarmowemi i ćwiczeniami. Wbito też gwoździe pamiątkowe w drzewco sztandaru

Fot. „Lux" Radom

Pieśń kobiecego serca

„Płaczący Ptak" J. K. Iłłakowiczówny, „Mój Film" K. Alberti, „$^{9}/_{10}$ przeciw $^{1}/_{10}$" M. Kasterskiej, „Rok Boży" W. Miłaszewskiej, „Poezje" Wacławy Grodzickiej - Czechowskiej, „Czerwone Tulipany" Józefy Czajówny.

Pieśń kobiecego serca wtajemnicza nas w tęsknoty, marzenia i przeżycia nowej generacji poetek. Egzotyzm liryki odsłania predyspozycje psychiczne, wskazuje na kulturę uczuć i nieraz daje możność odszukania właściwych artystycznych upodobań. Liryka kobieca jest jednak naogół więcej powściągliwa w wyrazie swoich upodobań. Przynajmniej te sześć zbiorów wierszy, które mamy przed sobą, nie zdradzają tendencji światoburczych, a zawsze utrzymują się na poziomie dobrego smaku.

Na czoło poetek wysuwamy zbiór wierszy J. K. Iłłakowiczówny p. t. „Płaczący Ptak". W obfitej twórczości tej istotnie utalentowanej pieśniarki jest to tom udany. Autorka ta naogół nierówna jest w swoich lotach poetyckich. Daje często wiersze szlachetne w tonie i piękne w słowie. Zdarza się jednak, iż uwagę jej zaprzątają drobne, ulotne, pyłkowe nastroje: wiotkie w przeżyciu, są bezbarwne w słowie.

Gdy jednak Iłłakowiczówna otwiera serca swego tajnię, struny jej liry brzmią pełnią, soczystością tonu. Jest w pieśniach jej wtedy przekonywujący, godny, szlachetny podźwięk szczerych rozmodleń, zadum, przeżyć. Głębia słów prostych uskrzydla, rozdzwania, poetyzuje każde powiedzenie. Iłłakowiczówna nie ubiega się bowiem o rymy wyszukane, o strofy misternie wiązane, o barwność porównań i oryginalność powiedzeń. Z tajemnych poruszeń serca odczytuje swoje prześliczne wiersze:

„Niczem nie jestem, tylko drganiem strun żałosnych....
Któż może być o taką bolesną rzecz zazdrosny".

Budzi oddźwięk, opanowuje wyobraźnię, szczerość słów tych prostych, poetyckich. I jak nie poddać się hypnozie, urokowi jej wynurzeń, gdy w ciszy rozmodli się jej pieśń:

„W godzinę śmierci niech mi będą policzone
te dni i te godziny.... Na moją obronę
nic nie mam. Urwanego nie powiążę wątku
nawet przy zgonie...
Och, powiedz wszystko Ty, Ty, Chryste w mej obronie!
I także to, że nigdy nie miałam dzieciątka....."

Nowem zjawiskiem na polskim Parnasie jest p. Kazimiera Alberti. Jej zbiorek wierszy p. t. „Mój Film" świadczy o kulturze literackiej, szuka specjalnych póz i gestów stylizacyjnych. Tak w formie wiersza, jak i w porównaniach, określeniach znać wytężone dążenie do barwności, niezwykłości, wdzięku. P. K. Alberti często osiąga zamierzony cel. Wierzymy poetce, gdy mówi:

„Jej pachnące dłonie są jak dwie herbaciane róże—w parku—na gazonie".

Znaliśmy dotychczas utwory narracyjne p. Wandy Miłaszewskiej. Okazuje się, że i wierszem sprawnie włada autorka „Księżniczki Dagny". Wydała ona obecnie zbiór wierszy p. t. „Rok Boży". Każdy miesiąc, jako pora roku, jest zamknięty w cztery strofy poetyckie, odtwarzające powaby naszej przyrody.

P. Marja Kasterska, ruchliwa informatorka na gruncie paryskim o rzeczach kulturalnych polskich, wydała zbiór wierszy p. t. „$^{9}/_{10}$ przeciw $^{1}/_{10}$". Jak wynika ze wstępu do tej książki, autorka ma odwagę dawać wyraz w wierszach swoich hymnom podświadomości. Pisze ona:

„Pozostawmy więc pseudo - mędrcom łojową świeczkę świadomej mądrości, oprawną w lichtarz taniej ironji i przy migotliwem, dalekiem światełku idźmy odważnie, mimo niepojętej, cichej obawy, w głąb własnej duszy, na spotkanie $^{9}/_{10}$ podświadomych, będących istotną treścią naszej istoty."

Wyznanie to należy przyjąć z pewnem zastrzeżeniem, wiersze p. M. Kasterskiej są świadomie i kulturalnie opracowywane. Znać na nich ślad francuskiego, literackiego środowiska. Troska o plastykę, rytm, rym, wysłowienie gra w sztuce poetyckiej p. Kasterskiej dużą rolę.

„Poezje" p. Wacławy Grodnickiej - Czechowskiej zdradzają duże obycie z wierszem, poczucie rytmu i płynność słowa. Jest to już zresztą piąty zbiór utworów tej autorki. Nowością zupełną są wiersze p. J. Czajówny „Czerwone tulipany". Próbne loty tej młodej autorki należy powitać z zainteresowaniem...

Pieśń kobiecego serca, spowiadająca się z przeżyć, marzeń i udręką zamkniętą w tych sześć wyżej omówionych zbiorów, zapewne zaciekawi szersze koła wielbicieli naszej poezji. Kogóż bowiem nie zainteresuje „Targ w Zanzibarze", jeden z wielu filmów kobiecej wyobraźni, szukającej pozy najwdzięczniejszej, słowa najbardziej przekonywującego?

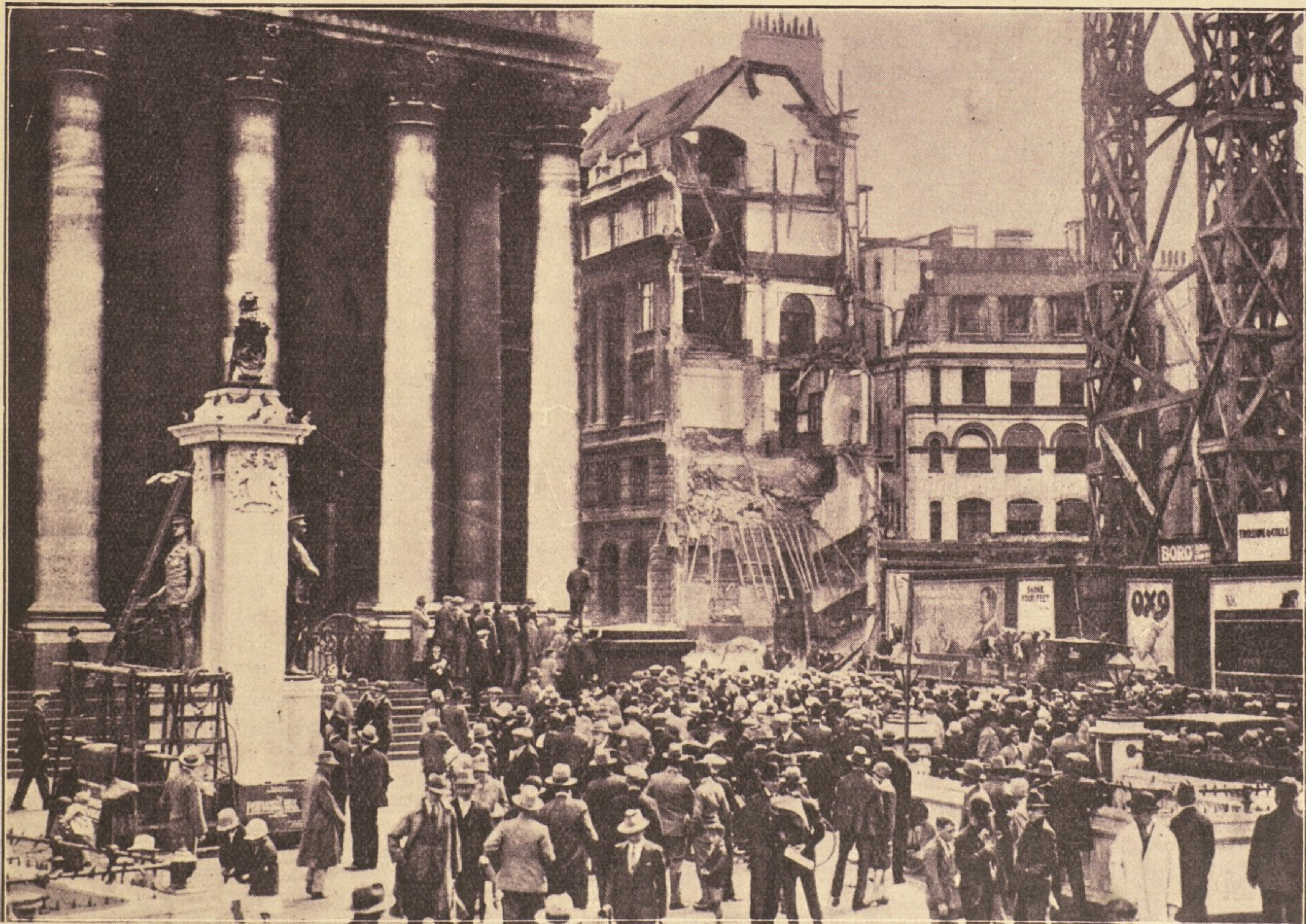
F.

ROZBUDOWA INSTYTUCJI SAMORZĄDOWYCH



Pod przewodnictwem wiceministra Jaroszyńskiego odbyło się w gmachu Rady Ministrów pierwsze posiedzenie Rady Samorządowej

KATASTROFA BUDOWLANA W LONDYNIE



Okazuje się, że nietylko w Warszawie domy sypią się w gruzy. W sercu Londynu, koło banku angielskiego rozpadł się sześciopiętrowy dom. Angielscy niesumienni przedsiębiorcy budowlani pozazdrościli laurów naszym... majstrom



C A Ł Y   P A R Y Ż!

L A S E K   B U L O Ń S K I

Gdyby można było tych kilka drzew i polan oraz jezioro pomiędzy niemi objąć szklanym kloszem i przesunąć w przestrzeni, — wtedy należałoby ten szczególny bibelocik umieścić w Muzeum Cluny, albo raczej, w galerji figur woskowych muzeum Grévin. Tak, zabytkiem muzealnym jest dzisiaj Lasek Buloński, ten syntetyczny salonik burżuazyjnej Francji, ta awanscena, na której rozgrywały się wszystkie ekspozycje i intermezza komedji dziewiętnastowiecznej. Błąkają się jeszcze po jego alejach i ustronnych ścieżkach fantomy ludzi i karoc. Tutaj, w półmroku drzew, spotkać można widma Rastignaca i Rubempré, majaczące pojazdy córek ojca Goriot, duchy arystokratycznych marjonetek Jerzego Ohnet, zjawę kurtyzany Klaryssy z cyklu Pawła Adama w otoczeniu upiornych dandysów Gavarni'ego, cienie światowych neurasteników, Pawła Bourget'a i Abla Hermant'a.... W niespiesznej defiladzie przesuwają się maniery i mody od quasi antycznej tuniki lat trzydziestych, poprzez krynoliny Drugiego Cesarstwa, do bufiastych rękawów loretek Toulouse — Lautrec'a.... Te wychudłe drzewa, których jedynym urokiem jest to, że budzą tęsknotę do pierwotnej pysznej flory tego paryskiego ubocza, — czyżby, doprawdy, były świadkami tylu patetycznych gestów, tylu groteskowych w swej niemocy dramatów miłości własnej i innej....?

A jednak „sic transit" byłoby przedwczesne.

Panie wysoko usadowione na stołach przed bufetem baru „Fouquet's", wystawiając kolana okrągłe i lśniące, jak bilardowe kule, rzucają sobie zamiast powitnia:

— Idziemy do Lasku?....

— Wracam z tury po Lasku. Zachwycające!....

— Pijemy porto w Chateau Dauphine?....

Nad ranem, w bardziej ocienionych zakątkach, spotyka się pary jadące na rasowych wierzchowcach: mężczyzna i kobieta pochyleni ku sobie w klasycznej pozie — głowami — i jakże mało różniący się w swych jednakowo męskich strojach...

Rozcwałowane kawalkady przewalają się po Alei Akacjowej, wstrząsając drętwotę drzew tętentem, śmiechem i krzykiem pogoni. O każdej porze dnia włóczą się po drogach i dróżkach grupy, złożone z czerstwych dżentelmenów i siwych dam, które, wyszedłszy z pobliskiej restauracji, korzystają z okazji, by poznać Lasek Buloński i pozostawić za sobą zapach perfum i cygar oraz odgłosy kluskowatej, anglo - saskiej mowy. Na trawnikach tarzają się midinetki „na wagarach" w towarzystwie szeroko usposobionych młodzianów, tchnących sportem i bezmyślnością. Tu i owdzie, na ławce, samotna kobieta w wieku i stroju szlachetnie niewyraźnym, czyta książkę w żółtej okładce Mercure de France. Z auta, nagle zatrzymanego u skraju drogi, wysiada boginka w obłoku kosztownej elegancji i ciągnie na smyczy psa, aby go zmusić do hygienicznej przechadzki. Angielskie pielęgniarki, długie i wysuszone, w rogowych okularach i w sztywnych niebieskich uniformach, popychają przed sobą wózki dziecięce. Auta, których kierowcami są przeważnie szoferki, przewijają się bezgłośnie długą polyskliwą liną.

W nocy rozkwitają wielkie fosforyzujące owoce papierowych latarń w ogrodach restauracyj Armenonvile, Chateau de Madrid, Pré Catelan. Te oazy światła przyciągają sunące nisko roje automobilów, tnących noc mackami świetlnych snopów. Z pod skrzydeł hałaśliwie otwieranych drzwiczek wylatują kobietyosy na długich, kształtnych nogach i mężczyźni-czarne chrabąszcze o białych, krochmalonych piersiach. Tańczące pary balansują nad przepaścią lustrzanej posadzki pod dźwięki jazz-bandu, które przesiane przez zarośla, mdleją w oddaleniu słodką melancholijną gędźbą.

W niedzielę... O, w niedzielę, Lasek Buloński ożywa, napełnia się rumorem, gwarem i rozruchem wielkiej inwazji! Paryż pracujący, spragniony zieleni i powietrza, wyrusza na podbój jego gazonów, alej i jeziora. Rumiany i otyły korzennik w koszuli i w szelkach prowadzi za sobą uroczystą żonę i stadko latorośli. Mężowie sapią pod ciężarem koszyków z żywnością, żony obnoszą ostatnie kreacje Bon - Marché. Dziewczyny szerzą zapach mydła Cadum, młodzieńcy w kaszkietach toczą obok siebie rowery i motocykle, dziatwa goni się, baraszkuje i koziołkuje — cały ten świat zalewa Lasek Buloński, wyściela jego trawę warstwą obrusów i płaszczów, obarcza drzewa kapeluszami i marynarkami, zabarwia ścieżki plamami gazet, puszek od konserw, łupin i obierzyn.

A więc Lasek Buloński żyje? Są to tylko pozory życia, rumieńce agonji Niema w nim jednolitej atmosfery, jego bywalcy są przypadkowi, bez rodowodu i bez przywiązania do miejsca, jego chwile żywości i zaludnienia — dorywcze i niestałe. Jego asfaltowe aleje są jedynie torem dla automobilów, *przejeżdżających* w jakimś niewiadomym kierunku. I tylko czasami wychyla się z poza jego drzew wielka lakierowana kareta, ciągniona przez dwa powoli stąpające konie; na jej drzwiczkach widnieje herb z koroną, na koźle wznosi się majestatyczny woźnica z twarzą angielskiego lorda, a w jej wnętrzu — wtulona w kąt starsza, pełna niedzisiejszej dystynkcji, dama o białych włosach i smutnem wejrzeniu... Widmo przeszłości.

Już w epickiej kronice Marcelego Prousta, będącego obrazem społeczeństwa paryskiego z końca poprzedniego wieku, miejsce schadzek i spacerów przesuwa się z Lasku Bulońskiego na Pola Elizejskie, oddane z właściwym temu pisarzowi czarem niadomówionych reminiscencyj i lirycznej penetracji. Dzisiaj Pola Elizejskie zadziwiają przybysza odludną i błyszczącą pustką. Albowiem dzisiaj, w epoce nieograniczonego panowania automobilu, który stał się przedmiotem codziennego użytku, można szukać wytchnienia w dalekich zamiejskich oberżach i mieścinach całej Ile-de-France. Lasek Buloński, święty gaj snobizmu, stał się etapem, omijanym bez zwalniania szybkości.

Paryż — *J. Zburski*



Chata St. Żeromskiego Fot. W. Złakowski



Mauzoleum ku czci Stefana Żeromskiego. Projektował arch. Witkiewicz

Z TYGODNIA

Zdawałoby się, że w wieku telegrafu bez drutu, telefonów i aeroplanów nie będzie już tajemnic! Jestże zakątek świata, człowiecze, gdziebyś mógł się ukryć przed ciekawością policjanta, komornika i reportera? Odnajdą twe ślady, wyszperają schowanie. Ziemia stała się małą, oblecić ją można w kilka dni. To co się stałó w Paryżu, wiadomem jest natychmiast w Honolulu i Kambodży. I odwrotnie. Jakże ujść w tych warunkach chciwym niedyskrecji ślepiom i uszom?

Sztuki tej dokonał gen. Zagórski. Zapadł się pod ziemię nagle, niespodzianie i bez śladu. Więziony starannie przez 15 miesięcy, jedzie z Wilna do Warszawy pod ścisłą eskortą. Jeszcze na dworcu Gdańskim strzeżony jest pilnie, dwóch oficerów siada z nim do samochodu. Ale na Krakowskiem Przedmieściu generał widzi fascynujący napis: Łazienki Fajansa. Następuje akt zbiorowej sugestji. Wszystko idzie w niepamięć: długie zamknięcie w celi więziennej, groźba procesu, tęsknota za rodziną i przyjaciółmi, najbliższa przyszłość, najeżona trudnościami. Generał ma tylko jedną myśl, jedno pragnienie: wykąpać się. Oficjalni towarzysze podróży, uważają tę myśl i pragnienie za rzecz słuszną i naturalną. Zatrzymują samochód, wysadzają więźnia tak, jak się wysadza znajomego, który prosił, żeby go podwieźć do drugiego rogu ulicy. Żadnych formalności, uścisk dłoni, do widzenia. Dzieje się to w najruchliwszym punkcie miasta, gdzie koncentruje się życie stolicy. Pp. eskortujący oficerowie wracają zadowoleni do domowych pieleszy. Nazajutrz okazuje się, że gen. Zagórski zmienił zamiar i nie poszedł kąpać się do Fajansa. Przepadł.

Historja ma cechy fantastyczne, i niepodobna się dziwić, że rozpaliła ciekawość publiczną bez miary. Nabrała zresztą odrazu charakteru politycznego. Dzienniki, sprzyjające rządowi, krzyknęły chórem:—Generał Zagórski uciekł! Dzienniki opozycyjne jęły dawać upust wątpliwościom i podejrzeniom, czy generał nie został porwany? Opinja rozdzieliła się. Jedni są przekonani, że gen. Zagórski ukrywa się, prawdopodobnie u jakiejś pięknej i przewrotnej Circe warszawskiej, lub też zażywa wolności w uroczej miejscowości zagranicznej. Inni są przeświadczeni, że padł ofiarą zamachu, że prawdopodobnie już nie żyje. Domorosłym, zaimprowizowanym Sherlockom Holmessom nie udało się trafić na najlżejszy trop. Słabo to świadczy o ich zdolnościach.

Porównywano zniknięcie gen. Zagórskiego z ucieczką Daudet'a. Wydaje mi się, że nietrafnie. Tam odrazu było wiadomo, że Daudet uciekł, że się ukrywa, wprędce ujawnione zostało miejsce jego pobytu. Gen. Zagórski zniknął. Literalnie zniknął. We Francji afera Daudet'a wywołała więcej wesołości, niż niepokoju. Wprost przeciwnie — w Polsce — afera gen. Zagórskiego.



Płaskorzeźba-portret ś. p. Stefana Żeromskiego

. . . .

Wróciły bowiem czasy, że los jednostki znowu interesuje ogół. Świadczy o tem amerykańska sprawa dwóch anarchistów włoskich, Sacco i Vanzettiego, o-



Vanzetti i Sacco, straceni d. 22 sierpnia r. b. po siedmiu latach oczekiwania na wykonanie wyroku

skarżonych o zamordowanie kasjera fabrycznego. Zbrodnia spełniona została w kwietniu 1920 r. Sąd wydał już w czerwcu tegoż roku wyrok, skazujący obu obwinionych na śmierć. Od tej pory toczył się poprzez wszystkie instancje okrutny proces: każda z nich w końcu potwierdzała werdykt pierwotny. Od siedmiu lat ci dwaj nieszczęśliwcy codziennie oczekiwali egzekucji. Czy to nie nazbyt okropna tortura? Tak pastwić się nawet nad zbrodniarzami nie wolno! - I tem zapewne wytłomaczyć można odruch współczucia, który wyraził się w niezliczonych petycjach do rządu i prezydenta Stanów Zjednoczonych, nietylko z Ameryki, ale i z Europy. W Ameryce sprawa Sacco i Vanzettiego nabrała, podobnie jak u nas sprawa gen. Zagórskiego, cech politycznych. Stała się symbolem walki z komunistami, którzy jęli swe sympatje dla skazańców wyrażać głupiemi i krwawemi zamachami na niewinnych przechodniów.

Zadrasnęła dumę państwowców amerykańskich, dotkniętych, że obcy śmią się mieszać do ich spraw wewnętrznych. Starania nie odniosły skutku. Sacco i Vanzetti zostali straceni.

. . . .

Wiadomem jest od niepamiętnych wieków, że sprawiedliwość ludzka jest niepewna, że daje się naginać różnym względom i powodom. Daremnie czcigodny senat Aeropagu sądził w nocy, z obawy, aby widok stających stron nie skaził jego wyroków. — „Takie są myśli ludzi, jakiem światłem Jowisz oświecił ziemię", twierdził Cycero. — „Nietylko gorączki, napoje trujące i wielkie przygody obalają nasz sąd, pisał Montaigne, —najbłahsze wświecie rzeczy kręcą nim jak chorągiewką". Cóż dopiero, gdy w grę wchodzą wpływy i namiętności polityczne! Wdzierają się one—niezawsze świadomie—do umysłu sędziego, kształtują jego pogląd. Wtem budzi się wśród oświeceńszego ogółu naturalna reakcja, tęsknota za sprawiedliwością absolutną, której nie masz na ziemi,— podejrzliwość czasem niesłuszna, w stosunku do sądów doczesnych, i, co za tem idzie, niekiedy nawet sympatje dla tych, co życiem swem i postępkami wszelkie prawa i obyczaje obrażali.

Takiego włóczęgę, bandytę, sutenera i złodzieja, który przytem był genjalnym poetą, zaprezentował czytającej publiczności polskiej niestrudzony Boy - Żeleński: Franciszka Villona. Wydał w doskonałym przekładzie świetnie acz nie przesadnie archaizowanym jego „Wielki Testament", poprzedzając poemat znakomicie nakreśloną sylwetą niezwykłego drapichrósta paryskiego z przed pięciuset lat. Mimo sędziwego wieku, wiersze zachowały pełną krasę życia i, naszym smakoszom literackim przysporzą niejedną chwilę rozkoszy. Obawiać się tylko należy, aby niektórzy co impulsywniejsi młodzi poeci nie przejęli się nadto tym faktem. Villon nie dlatego przetrwał pół tysiąca lat, że był wałkoniem, złodziejem i sutenerem, ale dlatego, że miał genjusz. Nie trzeba koniecznie być opryszkiem, szantażystą lub przynajmniej paszkwilistą, aby tworzyć arcydzieła. Jak również nie wystarcza pozować na zboczenia seksualne, aby zostać Wildem, lub Rimbaud'em, — upijać się w szynkach, aby zyskać sławę Verlaine'a! Literatura polska ma pod tym względem piękne wzory: nasi wielcy pisarze byli przeważnie nieskazitelnymi obywatelami. Życie Mickiewicza stało na wysokości jego genjuszu!

. . . .

Cóż powiedzieć o tonie, w jakim prowadzone są obecnie dyskusje polityczne? W polemikach dziennikarskich wymiana takich epitetów, jak „nikczemny łajdak", „nikczemnik" i „kanalja" stała się rzeczą powszednią. Nikt się o to nie obraża, nie upomina się o obelgę, nie żąda zadośćuczynienia, nie broni honoru. Możnaby mniemać, że poprostu w słowniku języka dziennikarskiego dokonano pewnych przesunięć. Dawniej pisano: — Nie masz pan słuszności. Teraz pisze się: — Jesteś nikczemnym łajdakiem. Dawniej wyrażano się: — Mijasz się pan z prawdą. A teraz: — Jesteś kanalja!

Te same dzienniki, które w ten ton uderzają, nader często wyrzekają na bałkanizację naszych stosunków wewnętrznych...

A publiczność? Publiczność wierzy jednym i drugim. U kata, jest przecież Syndykat dziennikarski. Czy powstał wyłącznie na to, by urządzać za pieniądze M. S. Z. śniadania dla wycieczek cudzoziemskich lub zdobywać dla swych członków wolne bilety kolejowe? Czyż w dziedzinie jego zadań nie leży obrona interesów moralnych korporacji?

skrz.

AFORYZMY

Oto kilka aforyzmów Jean Richepin'a, Bourget'a, Ponchon'a i Mercier'a:

Nie należy zapominać, że miasta znajdują się na wsi.

We śnie duch pracuje, a ciało zamiera; w śmierci duch zamiera a ciało pracuje.

Są ludzie, którzy gestykulują głosem.

Gdybym był nieśmiertelny, wynalazłbym śmierć, aby mieć przyjemność życia.

Poeci są nieszczęśliwemi dziećmi, które się zabawiają puszczaniem baniek z własnych łez.

Nałóg palenia jest może tylko przyzwyczajeniem się do ssania, które to przyzwyczajenie powraca z latami.

Literatura godzi z życiem; ale nie godzi z nieżyciem.

Niepodobna odnaleźć binokli, gdy się ich nie ma na nosie.

Podczas mojej podróży na Saturna widziałem mężczyzn ubranych po kobiecemu. Gdy z tego powodu okazałem niejakie zdziwienie, powiedziano mi: „To są poeci".

w. p. g.

Wynalazki... których nie będzie

Wyraz „niemożliwy" dawno podobno został wykreślony ze słownika techniki. Tak przynajmniej twierdzą ci, którzy.... z techniką nie mają nic wspólnego. Entuzjaści ci mają jednak często do techników pretensję, że dotychczas nie dokonali oni pewnych wynalazków, których idea jest rzekomo prosta i narzucająca się umysłowi. Istnieje cały szereg typowych „zagadnień", prześladujących ludzi, którzy nie mają wykształcenia technicznego; nie od rzeczy będzie może przyjrzeć się niektórym z nich nieco bliżej.

Wiadomo, że w niektórych instalacjach elektrycznych (np. telegraficznych) prąd elektryczny, wytwarzany w dynamomaszynie lub baterji, „wraca" do niej z miejsca, w którem został użytecznie wyzyskany, poprzez ziemię. Otóż często spotkać się można z pytaniem: „czy prądu tego, płynącego ziemią, nie możnaby jako wykorzystać?" Odpowiedź, jaką na to daje nauka, brzmi: Można! Tylko, że nie miałoby to żadnego celu! Chcąc wykorzystać tę płynącą w ziemi elektryczność, trzebaby ją było oczywiście jakoś skanalizować, t. z. zmusić do odbycia drogi powrotnej w jakimś przewodniku (drucie); w przewodnik ten włączylibyśmy motory, lampy, grzejniki i t. p., a prąd, przepływając przez nie, wykonywałby dla nas użyteczną pracę. Ale— nic za darmo! Wszystkie te przyrządy stawiają prądowi elektrycznemu pewien opór; skąd prąd ma zaczerpnąć energji, potrzebnej do jego przezwyciężenia? Prąd, wypływający np. z dynamomaszyny, lub baterji, bierze na siebie niejako obowiązek wykonania pracy w pewnej ściśle określonej ilości, zależnej od tego, jaką pracę poświęcamy sami na to, aby dynamo-maszynę utrzymać w ruchu. Więcej pracy ponad tę ilość prąd nie wykona i wykonać nie może, i jeśli zmusimy go do przezwyciężania dodatkowych oporów w drodze powrotnej, to wykona on odpowiednio mniejszą ilość pracy użytecznej we właściwem miejscu swego zastosowania: lampy będą się słabiej świeciły, motory wolniej poruszały i t. d. Wprawdzie i w ziemi prąd ma pewne opory do pokonania, są one jednak nieznaczne. Zresztą, jeśli rachunek wykaże, że na pokonanie oporu ziemi zużywałaby się zbyt wielka część energji prądu, to ułatwiamy mu drogę powrotną, przeprowadzając go przez przewodnik o odpowiednio małym oporze.

Inny „wynalazek", proponowany częstokroć przez niewtajemniczonych, polega na następującem: Jeśli przez „cewkę" lub „solenoid" (drut, zwinięty w linję śrubową) przepuścimy prąd elektryczny, to wytwarza się dookoła „pole magnetyczne"; solenoid wciąga np. do wnętrza swego kawałek żelaza, znajdujący się w pobliżu. Możnaby więc koleje elektryczne (zwłaszcza podziemne), windy i t. p. urządzać w ten sposób, aby wagon, mający przecież zawsze dużo żelaznych części, biegł w „tunelu", utworzonym ze zwojów drutu, t. zn., wewnątrz dużego solenoidu. Możnaby przytem skonstruować (w postaci np. ślizgającego się kontaktu) odpowiedni wyłącznik, który podczas biegu wagonu samoczynnie odłączałby zwoje solenoidu, leżące już z tyłu poza wagonem. Czemu się tak nie robi? Odpowiedź brzmi: przedewszystkiem dlatego, że to by się zupełnie nie opłacało. Aby zastosowanie takiego urządzenia mogło być korzystne, musiałoby ono mieć conajmniej jedną z dwuch zalet: 1) dawać oszczędność przy budowie całej instalacji, 2) dawać ją przy eksploatacji tejże. Łatwo jednak widzieć, że system, używany obecnie (motor, poruszany prądem, który doprowadzamy doń przez jeden prosty drut), wymaga znacznie mniejszej ilości cennego materjału, niżeli ów nowy „wynalazek": pomyślmy tylko, ile drutu (miedź!) potrzeba byłoby na to, aby utworzyć z niego „tunel" długości choćby tylko 20 kilometrów! Co zaś do eksploatacji, to i tej koszty byłyby ogromne, a to z powodu bardzo wielkich strat energji skutkiem „rozpraszania się" linij sił magnetycznych w powietrzu. Sprawy tej nie możemy tu bliżej wyjaśniać, zaznaczmy jednak, że jest ona dobrze znana każdemu inżynierowi elektrykowi. W rezultacie więc „wynalazek" ten byłby równie „praktyczny", jak celowem byłoby np. zastąpienie maszyn drukarskich przez pędzelek, maczany ręcznie w tuszu....

Ale — z innej beczki...

Znane są sztuki różnych artystów cyrkowych, którzy, pociągając smyczkiem po jednej strunie skrzypiec, doprowadzają do tego, że stojąca wpobliżu szklanka zaczyna dźwięczeć coraz głośniej, aż w końcu pęka. Znana też jest historja pewnego mostu we Francji (w Angers), który, choć był obliczony na znacznie większe ciężary i znajdował się w zupełnie dobrym stanie, zawalił się, gdy przechodził przezeń niewielki stosunkowo oddział żołnierzy. Od tego czasu na wielu mostach widnieje napis, zabraniający oddziałom wojskowym przechodzić krokiem rytmicznym. „Ale co te wszystkie rzeczy mają ze sobą wspólnego?"—zapyta czytelnik. Mają—i wiele! Każdy przedmiot stały — czy to będzie drzewo w ziemi, czy fotel na biegunach, czy wahadło zegara — jeśli jest potrącony odpowiednio mocno, wykonywa pewną ilość wahnięć, zanim się uspokoi. Częstość, czyli tempo tych wahnięć jest zawsze charakterystyczne dla danego przedmiotu i zależne od rozmiarów i masy jego. Jeśli więc pewien przedmiot — np. fotel na biegunach — będziemy uderzali choćby lekko, ale regularnie i to we właściwem tempie, zgodnem z tempem własnych wahnięć przedmiotu, to może się zdarzyć, że wahnięcia jego będą się stawały coraz większe i większe. Ten wypadek miał właśnie miejsce — szczególnym zbiegiem okoliczności — w Angers: miarowe uderzenia nóg przechodzącego oddziału żołnierzy, ponieważ były zgodne co do tempa z wahnięciami mostu, wprawiały go w coraz silniejsze drgania — aż się rozwalił.... Podobnie mają się rzeczy ze szklanką naszego muzyka-sztukmistrza: drgania akustyczne powietrza, wywołane przez dźwięczącą strunę, udzielają stojącej opodal szklance ciągłych impulsów, i jeśli ich tempo jest odpowiednio dobrane, to drżenie

---

JULJAN EJSMOND

„Wieśne" słodycze...

(feljeton letni)

Gdy nadejdzie niedziela lub święto,
jedziesz z miasta z twarzą uśmiech-
niętą
na wieś, gdy ją masz blisko,
lub na jakie letnisko,
by odetchnąć choć chwilę
po miejskim pyle...

Marząc o tem rozkosznem letnisku
i o żony i dziatek uścisku,
stoisz w tłoku i ścisku
wpierw na stacji w ogonie,
a potem na peronie,
wreszcie w dusznym wagonie...
(zdrowy człowiek by popadł
w agonję!).

Całą duszą toniesz w sentymentach.
Sąsiad depce ci srodze po piętach.
Drugi pierś ci przyciska,
a trzeciego walizka
spoczywa na twej głowie...
(tylko w połowie).

Lecz z powrotem są gorsze przy-
padki.
Stogi tworzą ludzie i manatki,
matki, dziatki, dzierlatki...
Pasażerów czasami
wkładać trzeba widłami,
ażeby się zmieścili
w „ostatniej chwili".

Takie to są niedzielne uciechy!
takie czary są wioskowej strzechy,
kiedy mąż czy niewiasta
żywot pędzi śród miasta
i jedynie świątecznym pociągiem się
szasta.....

szkła staje się tak silne, że szklanka pęka.

Ale czy nie dałoby się w takim razie połączyć przyjemnego z pożytecznem i zastąpić np. dynamit przez... skrzypce lub „flet czarodziejski"? Możnaby np., chcąc rozsadzić jakąś skałę, zacząć wygrywać obok niej czułe melodje, a skała rozpadłaby się ze wzruszenia... Ba — pewne tygodniowe pismo niemieckie zastanawiało się już nad tem, czy zawalenie się murów Jerycha nie dałoby się tak właśnie wytłomaczyć! Niestety, wszystko to trzeba „między bajki włożyć". Skoro jakieś ciało, wprawione w wahnięcia, pozostawimy samemu sobie, to wahania te słabną, a wkońcu znikają. Widocznie wewnątrz ciał istnieją jakieś opory, które przeszkadzają wahnięciom. Jeśli więc chcemy, aby wahania pewnego przedmiotu nie tylko nie słabły, ale nawet wzmagały się, to musimy opory te przezwyciężyć, dostarczając z zewnątrz podniet dostatecznie silnych. Tem źródłem podniet zewnętrznych może być jakiś instrument muzyczny. Ale łatwo widzieć, że jeśli podniety te, dostarczane w postaci fal akustycznych, mogą wystarczyć do tego, aby rozsadzić szklankę, to przecież są one zbyt słabe, aby móc pokonać opory wewnętrzne muru, skały, mostu i t. d. A więc nic z tego...

Innym jeszcze przedmiotem niecierpliwego oczekiwania jest armata, strzelająca prosto w księżyc.... kolonistami, lub turystami. Wszak dawno już Jules Verne opisał, jak powinna ona być skonstruowana: kiedyż nareszcie będzie ona zbudowana? Możemy śmiało odpowiedzieć: Nigdy! A oto dlaczego. Rachunek wykazuje, że prędkość, z jaką pocisk wypadałby z takiej armaty, musiałaby wynosić conajmniej 12 kilometrów na sekundę. Jasnem jest, że prędkości tej nie możnaby pociskowi udzielić „odrazu", t. zn. w ciągu jakiegoś bardzo krótkiego czasu. W przeciwnym bowiem razie człowiek, zamknięty wewnątrz pocisku, doznałby ze strony dna jego tak silnego uderzenia, że zostałaby z niego tylko miazga... Powiększanie szybkości pocisku musiałoby się odbywać stopniowo, tak, aby nacisk wywierany na zamkniętego wewnątrz człowieka, nie był zbyt wielki. Im wolniej odbywałoby się owo nabieranie szybkości, tem dłużej oczywiście trwałoby ono, a rachunek wykazuje, że i lufa armaty musiałaby być tem dłuższa. Otóż jeśli przyjmiemy, że człowiek może wytrzymać nacisk, równy dziesięciokrotnemu ciężarowi jego własnego ciała, to z rachunku wynika, że do osiągnięcia szybkości 10 tylko kilometrów na sekundę potrzebna byłaby lufa długa na 510 kilometrów! Takiej armaty człowiek oczywiście nigdy nie zbuduje.

To też próbowano rozwiązać to zagadnienie — oczywiście tylko w teorji— na inny sposób. W N-rze „Świata" z d. 13-VIII-27 p. inż. Kacprowski w interesującym artykule opisuje projekty paru techników francuskich. Polegają one na tem, że po torze kolistym miałby obiegać z coraz większą szybkością wagonik, w którym zamknięty byłby amator podróży na księżyc. W momencie odpowiednim, gdy szybkość wagonika byłaby już dostatecznie wielka (ok. 12 kilom. na sek.), wagonik miałby być odczepiony, i poleciałby w przestrzeń... Autorowie tego projektu zapomnieli jednak o sile odśrodkowej, która w czasie obiegania wagonika po kołowym torze przyciskałaby zamkniętego w wagoniku człowieka do zewnętrznej ściany tegoż. Przypomnijmy sobie, że siła ta jest wprost proporcjonalna do kwadratu szybkości, a odwrotnie proporcjonalna do promienia koła, — a znajdziemy łatwo, że gdyby promień toru kolistego wynosił 10 kilometrów (tak jak to podaje w swym artykule p. Kacprowski), to na krótko przed odczepieniem, czy ześlizgnięciem się wagonika z toru siła ta równałaby się 1450-krotnemu ciężarowi ciała „pasażera".... Kto z czytelników czuje się dostatecznym herkulesem, aby zwycięsko wyjść z takiej próby?

Co do autora tych uwag, to rezerwuje on sobie... ostatnie miejsce w „ogonku"....

Chcąc koniecznie odbyć podróż na księżyc, musielibyśmy chwycić się innych środków. Może byłyby to ciała promieniotwórcze, może rakiety... Ale o tem pomówimy też może innym razem.

arithmos

ĆWIKLIŃSKA W TEATRZE NARODOWYM



Mieczysława Ćwiklińska, niezrównana artystka komedjowa, została pozyskana na sezon bieżący przez dyrekcję Teatrów Miejskich. Obecnie święci wspaniały tryumf w „Niewiernej" Roberta Bracco

Fot. St. Brzozowski

Notatki teatralne

OSTATNIE PREMIERY

Na całej linji wznowienia. Oczywiście cudzoziemskie. Krytyka nie będzie miała przynajmniej asumptu do złośliwych uwag. W Polsce istnieje, acz niezalegalizowana — ochrona autorów zagranicznych. Brak jej tylko dla swoich.

W Teatrze Narodowym „Niewierna", Bracca. Utwór niewątpliwej wartości literackiej. Pierwszy występ — i pierwszy na tej scenie tryumf — Mieczysławy Ćwiklińskiej, która wraca do Teatrów Miejskich. Znakomita artystka wirtuozostwem swej gry przywraca świeżość nieco już przygasłym blaskom tego dramatu. W Teatrze Polskim, niewiadomo dlaczego, i po co — „Mandaryn Wu", stary, egzotyczny miłodramat angielski, wytarty na scenach warszawskich, jak stara złotówka. Rola popisowa dla p. Junoszy-Stępowskiego? Obudziła wspomnienie świetnej kreacji Kaź. Kamińskiego. Dekoracje i kostjumy Frycza? Bardzo porządne. Czyż jednak ten wzgląd ma kierować wyborem repertuaru? W Teatrze Letnim zabawna farsa niemiecka Leutsa, „Dom Warjatów". Dużo śmiechu, powodzenia. Orwid i Chaveau wyborni w głównych rolach, reżyserja Chabarskiego, tempo szalone. Wreszcie w Teatrze Małym „Michasia i jej matka" de Flers'a z Malicką i Maszyńskim. Włosi, anglicy, niemcy, francuzi... Dla kogóż mają być teatry polskie? Przecież nie dla wzgardzonej twórczości polskiej.

PARĘ SŁÓW

Literatura polska zatacza coraz szersze kręgi na świecie. W New - Jorku, nakładem bardzo poważnej firmy wydawniczej Dodd, Mead & Company, ukazał się duży tom nowel europejskich, przełożonych na język angielski pod redakcją Richarda Eaton. Tytuł tej książki brzmi: *The Best Continental Short Stories.* Literaturę polską reprezentuje nowela Wacława Grubińskiego p. t. *Dajmonion-Bib.* Krytyk amerykańskich *Times*'ów w sprawozdaniu z tej interesującej antologji prozaików kontynentalnych zwraca szczególną uwagę na naszego pisarza, nazywa go mistrzem i zaleca bliższe zapoznanie się z twórczością polskiego autora. Na jesieni, nakładem Gebethnera i Wolffa, ukaże się nowy tom nowel Wacława Grubińskiego p. t.: *Człowiek z klarnetem.*

S.



M O D Y



Kolekcje, jakie na sezon letni przygotowali paryscy krawcy, są tak obfite, że człowiek zadaje sobie pytanie, czy jest dość kobiet na świecie, aby nosić wszystkie te suknie, na których znać niezwykły wysiłek umysłu i fantazji, subtelność gustu i wyrafinowanie smaku, aby stworzyć coś nowego.

Tegoroczne letnie suknie mało się różnią od zeszłorocznych: linja pozostaje prosta, stan w tem samem miejscu, jedynie inne są ozdoby, a ponieważ nosi się ich bardzo mało, więc różnica napozór jest nieznaczna. Ale w każdym razie nowa suknia różni się od starej... . Zeszłoroczna co najwyżej nie będzie razić.

Wielką nowością tegoroczną są kostjumy, składające się z prostych żakiecików, zapiętych na cztery lub sześć guzików i spódniczki o szerokich fałdach. W kostjumach tych spódniczka i żakiecik są zrobione z różnych materjałów i kolorów. Jasny żakiecik i ciemna spódniczka dają niezwykłe pole do fantazji, naprzykład: w mieście w dni pochmurne, czarna spódniczka i beige żakiecik, lub też zielona spódniczka i szary żakiecik wyglądają nadzwyczaj efektownie. Oczywiście w lecie w pełnem słońcu nad morzem, jeszcze ładniej będą wyglądać takie komplety w jaskrawych tonach: spódniczka beige, żakiet wiśniowy lub spódniczka w deseń i gładki żakiecik.

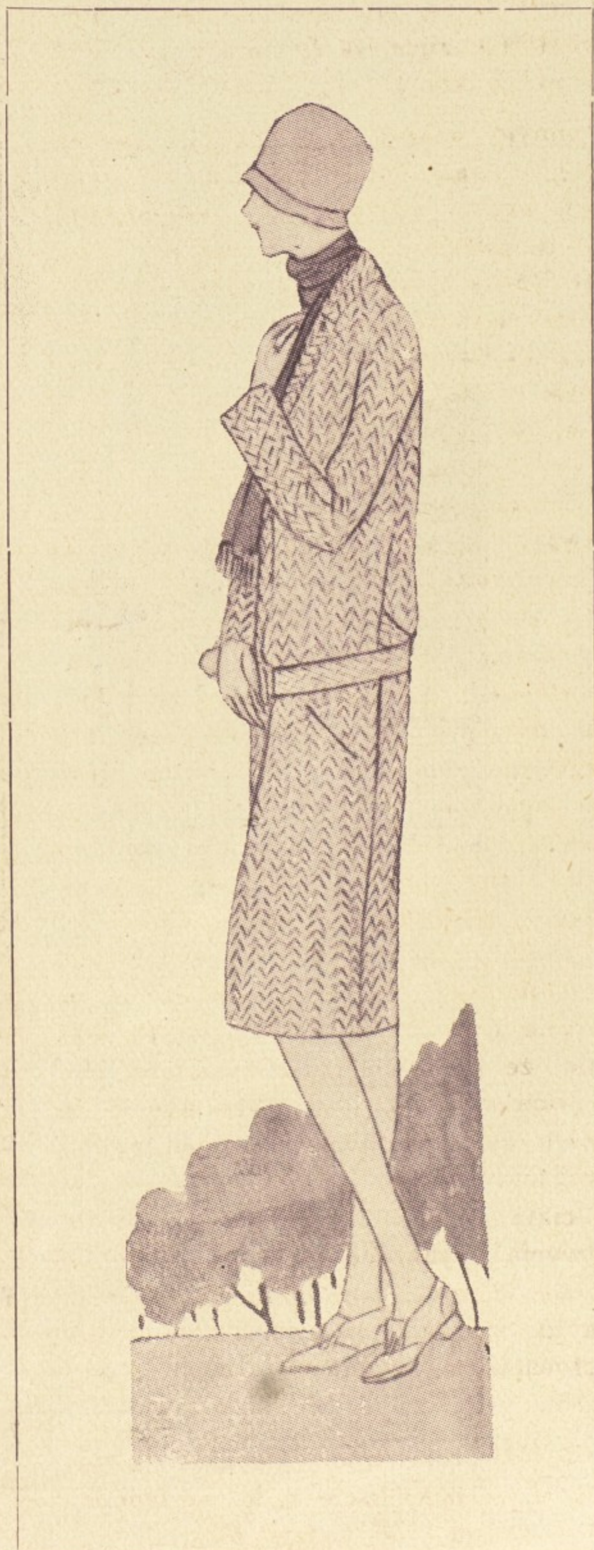


Inną sensacyjną nowością sezonu są „lekkie kostjumy". Jest to suknia i żakiecik z crêpe de Chine'u granatowego lub czarnego w drobny gęsty deseń.

I tutaj również ile możności ma kobieta, aby nadać takiemu ubraniu piętno nawskroś indywidualne: spódniczka i żakiet są z materjału w kwiaty, góra sukni gładka; czasami wszystko jest w deseń geometryczny, czasami znów suknia jest z gładkiego błyszczącego jedwabiu, a jedynie żakiecik jest z crêpe de Chine'u w deseń. Można zmieniać do nieskończoności i zawsze będzie ładnie.

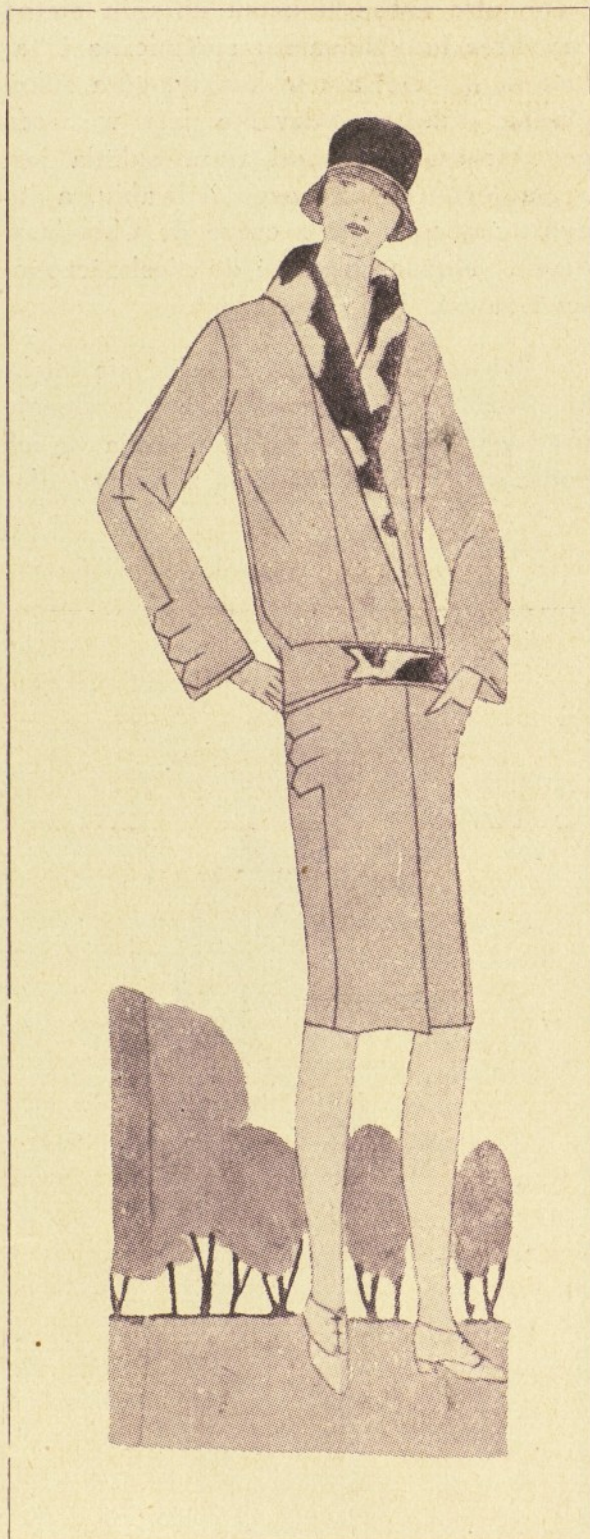
Żakieciki te muszą układać się miękko (wogóle powiewność jest tendencją obecnego sezonu), więc nie podbija się ich podszewką, nawet jeżeli są z wełny i dla-





tego dość trudny jest kołnierzyk. Najładniej wygląda i najlepiej leży, jeżeli jest zrobiony z wąskiego paska materjału, wiążącego się jak krawat lub przerzucającego się do tyłu.

Płaszcze letnie nieco krótsze, niż zeszłoroczne; są to tak zwane „trois quarts", a ściślej biorąc „cztery piąte", oto ostatnie słowo mody tyczącej się tegorocznych palt. Zwykle z pod takiego

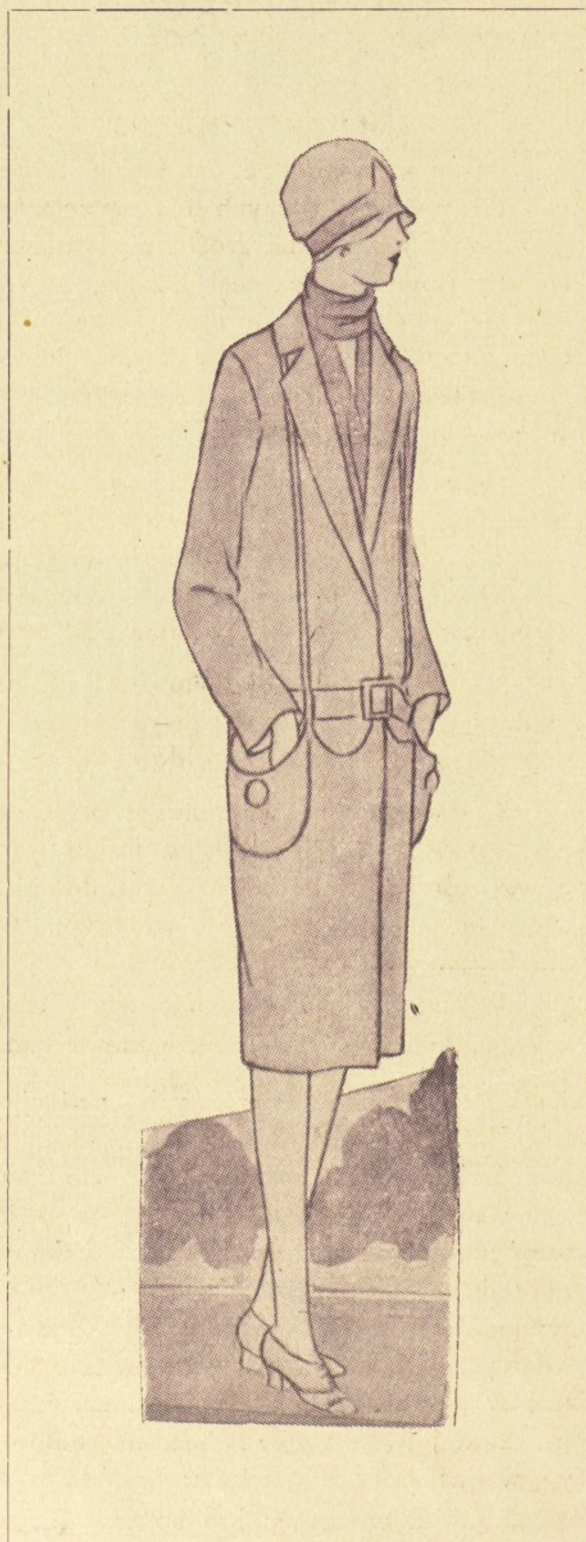


palta wychodzi dziesięć centymetrów spódniczki czy też sukni. Płaszcz krzyżuje się z przodu, nie jest zapięty, tylko przytrzymany ręką, dół oszyty futrem. Wszystkie te palta są bardzo powiewne, również nie mają wyraźnych kołnierzy, jedynie przymocowany szal zawiązany koło szyi. Są one czasami koloru sukni, czasami żakiecika. Palta te często są zrobione z crêpe de Chine'u w deseń, np. płaszcz z czarnego crêpe de Chine'u w czerwone kwiaty, oszyty lisami jest mimo śmiałego zestawienia wyjątkowo ładny.

Oczywiście nie wszystkie płaszcze mają charakter fantazyjny. Spotykamy dużo palt prostych i długich na podszewce takiej, jak suknia i tworzące uroczą całość, tak od kilku lat lubianą.

Wszystko to wskazuje, że panowanie materjałów deseniowych nie minęło, jest nawet silniejsze, niż dotychczas. Ale podczas gdy crêpe de Chine'y mają przeważnie na ciemnem tle drobne desenie, to crêpe Georgette'y i mousseline de soiè mają olbrzymie wzory, jak np.: na beige tle wielkie różowe róże w dwóch tonach lub na czarnem lila archiduc. Materjały te przeznaczone są na suknie popołudniowe. Suknie skromniejsze ranne są z deseni szkockich czarnych lub szarych na białem tle.

Tegoroczne letnie suknie są powiewne, lekkie i przedewszystkiem charakteryzuje je zupełny brak symetrji, draperowania są zebrane z lewej lub prawej strony, jeżeli zaś jest plisowana lub fałdowana, to również plisy, czy też fałdy są zebrane niesymetrycznie.



Jednem słowem jak najwięcej fantazji, oto postulat obecnego sezonu.

Jeżeli jest prawdą, że wszystkie kobiety noszą takie same kapelusze: wczoraj filc z opuszczonem rondem, dzisiaj tok bez brzegu, to kolekcja letnich kapeluszy pokazuje niemniej wielkie urozmaicenie.

Ogólnie biorąc, główki są mniej wysokie, niż na początku wiosny. Kapelusze



nosi się bardziej do tyłu, odsłaniając oczy, a czasami nawet brwi i dlatego główka przechylona jest bardziej ku tyłowi lub na bok, drapując się często w formie beretu.

Rondo jest nierówne, pogięte, podniesione. Z materjałów słomkowych najbardziej noszone są: picot, banekok i włoska słomka, a z jedwabi wstążki gros grain we wszystkich odcieniach niebieskich i beige.

Ir

BIEG KOLARSKI STAROSTWA WARSZAWSKIEGO NA 100 KL.



Zwycięzcy: 1. Krawczyk, 2. Gronczewski. Fot. W. Złakowski

Z tatrzańskiego „teatru" turystycznego

Garść szczytów w morzu ludzkiem — Co to jest młody taternik? — Trzy pokolenia tatrzańskie — Tatry, jako „element" metafizyczny — Wielki przyrząd gimnastyczny od Hawrania po Orobita.

Porzućmy miasta i doliny, dajmy urlop wiadomościom z ostatniego tygodnia sportowego!

Oto jesteśmy u stóp Tatr i chcemy się podzielić z naszymi czytelnikami wiązanką wrażeń, wiadomości i „wieści" tatrzańsko - zakopiańsko - turystycznych.

Tak zwane młode pokolenie taterników, szybko-nogie i wiatro-głowe „dostało się" w nurty i szpony białej gorączki tatrzańskiej, w spienione fale jakiegoś zabawnego przyspieszenia.

Działa i dokonywuje „cudecków", jak mówią sabałowi tubylcy tutejsi. Tak, w Tatrach zaczynają się dziać istne cudecki, prawdziwe, niefałszowane, autentyczne.

Mrowie ludzkie obsiadło tą malutką garść szczytów i dolin i — szaleje.

Legjony młodych „ludzi", wysportowanych smyków pnie się w wierchy z fantazją, zacietrzewieniem i zaślepieniem.

Szybko, gładko, efektownie!

Oto dewiza tych zdobywczych legjonów tatrzańskich, które przyszedłszy już do „gotowych" t. zn. odkrytych, zbadanych i udostępnionych Tatr chcą też coś pokazać i czemś świat zadziwić. Domysły i inowacje na tem polu gonią siebie nawzajem, jak stado rozjuszonych buhajów liptowskich.

Co to jest młody taternik?

Pytanie wdzięczne, aktualne i pełne tematów czekających na oświetlenie, podkreślenie i lekkie, złośliwo - żartobliwe oczernienie. Bez tego przejaskrawienia nie można prawie nigdy obejść się, chcąc wydobyć na światło dzienne pewne charakterystyczne cechy jakiegoś zjawiska.

Życie ludzkie, jest tak przejaskrawione samo w sobie, że wystarczy przeważnie tylko lekki prztyczek i — obrazek gotowy, prawda „wylazi" na dłoń. Tylko brać i podtykać ludziom pod oczy.

Młody taternik, to człowiek nie posunięty w latach, który wydrapuje się dopiero na grzędę swojej dojrzałości.

Wychowany w wojennej i powojennej sprawności fizycznej, w tej tak typowej dla naszych czasów zaradności i „zmyślności" życiowej, nie widzi nic niemożliwego dla siebie.

Młode pokolenie polskie do którego należy, obdarzyło go beztroskim rozmachem, werwą i lekkomyślnością. Żyje tem, co widzi, nic przeważnie nie rozgryza, łapie co jest pod ręką i byle dalej.

Rzuca się na góry z pełnem zaufaniem w swoje siły, obrotność i talenty fizyczne, pod których znakiem żyje obecnie.

Góry nie takie straszne, jak je namalowali nasi ojcowie, huknie sobie wesoło dla animuszu i jazda na podbój skalnych szczytów!

Ich „lekki" stosunek do gór jest na tem tle zupełnie zrozumiały.

Wszędzie na każdem polu życia nieubłagana linja „postępu" znaszy swój głęboki ślad.

Czy w perspektywie dalekiej przyszłości wyjdzie on na dobre pewnym przejawom i dziedzinom „owego" życia, nic o tem dzisiaj nie można powiedzieć. W Tatrach i taternictwie zmieniło się również dużo w ostatnich czasach.

Legendarne już dzisiaj „podróże" Chałubińskiego z muzyką, namiotami i tuzinem góralskich opiekunów, tak są niepodobne do obecnego taternictwa, jak wolniutki chłopski konik do wyścigowego samochodu. Umyślnie podkreślam to porównanie szybkościowe, gdyż przyspieszane z dnia na dzień tempo jest jedną z charakterystycznych zasadniczych cech postępu tatrzańskiego. Następne po Chałubińskim pokolenie turystów polskich wprowadziło w Tatry właściwą turystykę w pojęciu zachodnio - europejskiem. Udostępniło ono odkryte góry przez budowę schronisk, ścieżek i przejść.

Lecz najważniejszym dorobkiem ich są tak zwane problemy turystyczne.

Ustanowione przez nich szlaki górskie nieznaczone i nieoklamrowane wymagają umiejętności spinania, asekuracji i orjentacji w terenie.

Dla niewysportowanego i niewyrobionego fizycznie poprzedniego pokolenia, przejścia te były czemś niesłychanie trudnem i wymagającem specjalnej i niezwykłej, jak na owe czasy zręczności.

Legjon świetnych taterników ówczesnych ma jednak tą przewagę nad współczesnymi, że w swoim zdobywczym szturmie przypuszczanym do szczytów tatrzańskich — tworzył coś nowego, odkrywał nieznane możliwości w sobie i w Tatrach, był twórczym w każdym calu.

Wdzierali się na szczyty, ściany i granie, nie wiedząc, czy są możliwe do przejścia i odszukiwali je dopiero w ciężkiej i twardej walce z potężnymi molochami skalnymi.

Dlatego otacza i otaczać ich zawsze będzie aureola śmiałych zdobywców.

Nadchodzą czasy powojenne. Na Tatry rzucają się tłumy młodych zawadjaków, które przyszły już do gotowego.

Z przewodnikiem w którym opisano wszystko, jaknajdokładniej mkną sobie w góry. I nagle ku własnemu i swoich tatemickich ojców zdumieniu groźne przejścia i szczyty „przychodzą" im jakoś łatwo, daleko łatwiej, niż to w przewodnikach określono.

Pierwszy lepszy młokos śmiga sobie na Unielny, Żabie, Konie, Zamarłe, Ostre i Lodowe szczyty.

Lecz jakże inny jest ich stosuek do Tatr i turystyki?

Przylatują sobie tutaj na dwa, trzy sezony, żeby się wyszumieć w latach swego najbujniejszego temperamentu młodzieńczego.

WIDMO NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI, WYWOŁANE DLA KINEMATOGRAFU



Ludność Warszawy miała w ubiegłym tygodniu niebywałą sensację: na Starem Mieście urządzono dla filmu natarcie kozaków

Fot. Jan Ryś

Góry są dla nich objektem sportowym i na tem koniec.

Dawniej, gdy pod Tatrami skupiał się cały polski świat „buntowniczy" i artystyczny, mały zakątek podhalański był czemś w rodzaju dawnych „dzikich pól". W obliczu gór, na ich niedostępnych szczytach czuł się człowiek wolnym i bezpiecznym. Tutaj nie sięgała mściwa dłoń najeźdźcy.

To też Tatry poza przyjemnościami turystycznemi dawały jeszcze bliżej nieokreślone i niezdefinjowane poczucie swobody na tle dzikiej i wspaniałej przyrody górskiej. Pięknie jej podsycała w ludziach kohorta młodej Polski artystycznej.

Wszystko to razem stwarzało specyficzną i pełną uroku atmosferę tatrzańsko - podhalańską.

Tatry były tajemniczym, metafizycznym elementem, wielobarwnym i wielokształtnym kryształem, na którym szlifowały się i hartowały charaktery i dusze ludzkie.

Dzisiaj są przeważnie tylko jednym wielkim przyrządem gimnastycznym, na którym legjon młodych realistów i trzeźwowców „wyczynia" precyzyjnie, zgrabnie i szybko swoje ćwiczenia turystyczne w pogoni za rekordami, którymi chce świat zadziwić.

O tej nowej atmosferze tatrzańskiej i jej „aktorach" pomówimy jeszcze w następnych numerach „Świata".

J. M. R.

NA CZERWONYM LĄDZIE

(Oryginalne zdjęcia fotograficzne z wnętrza Afryki)



Stosy jaj krokodylich, zebranych nad brzegami Viktoria Nyanza, a służących do użyźniania roli



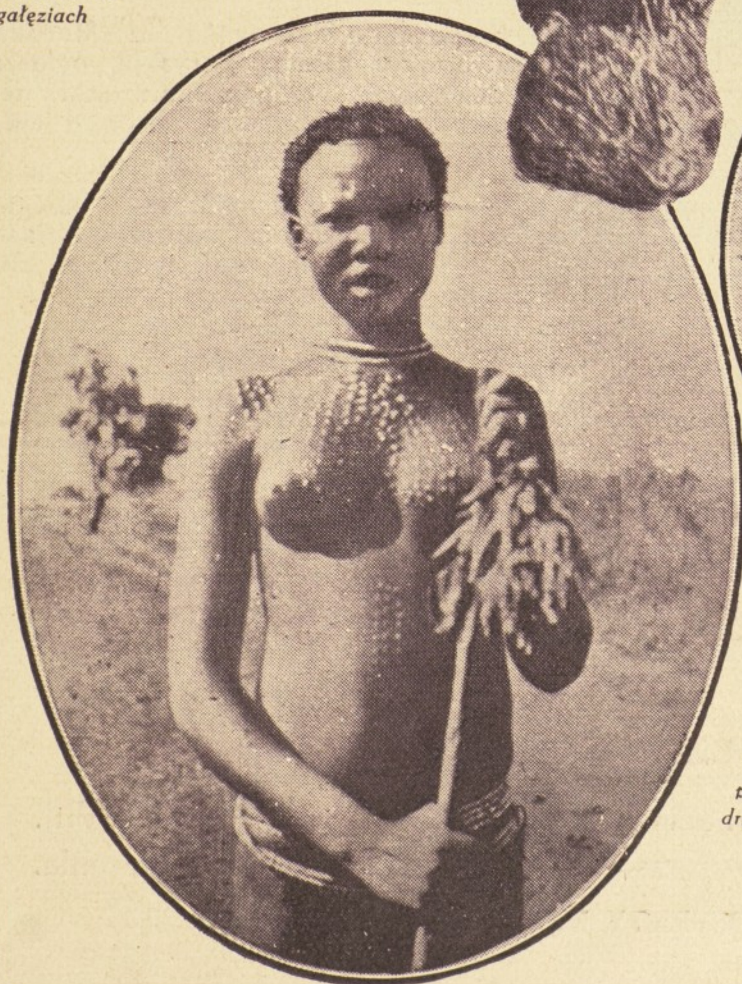
Gniazda zięby afrykańskiej, zwanej tkaczem, która swoje dwupiętrowe domostwo, mające otwór u spodu, zawiesza na gałęziach



Murzynka w północnym Transwaalu, wracająca ze zbioru bawełny



Powoli ale pewnie



Piękność z Ugandy, cenionej dla malowniczych rysunków na skórze spowodowanych nacięciami wypełnionymi popiołem drzewnym



Chałupa Zulusów

Tam Kupujcie!

NAJWAŻNIEJSZE WYPADKI UBIEGŁEGO TYGODNIA

SPRAWY PAŃSTWOWE

Marszałek Sejmu p. Rataj bawił umyślnie w Warszawie, aby wdrożyć starania o zwołanie nadzwyczajnej sesji Sejmowej około połowy września, na podstawie wniosku poselskiego do p. Prezydenta Rzeczypospolitej.

Minister Zaleski, po powrocie do zdrowia, weźmie udział w posiedzeniu Ligi Narodów. Delegacja polska wyjeżdża do Genewy z końcem bieżącego tygodnia.

Na pomoc w siewach dla rolników, dotkniętych klęskami żywiołowemi przeznaczyło ministerstwo skarbu po porozumieniu z ministerstwem rolnictwa trzy miljony złotych.

SPRAWY POLSKIE

W międzynarodowej konferencji komunikacyjnej w Genewie bierze żywy udział delegacja polska. Uczestniczą wszystkie państwa, należące do Ligi Narodów. Sowiety, wbrew zapowiedziom, odmówiły udziału.

Z senatu gdańskiego wystąpili senatorowie niemiecko - liberalni. Frakcja ta, występująca zazwyczaj wrogo przeciw Polsce, utraciwszy wpływy, chce ratować swą popularność przy przyszłych wyborach.

Łotewski minister Zielens odwiedził Litwę, aby omówić w Kownie wzajemne stosunki między obu krajami. Propaguje od ideę związku państw bałtyckich, bez Polski, który jednak bynajmniej nie ma się zwracać ostrzem przeciw Polsce.

POLITYKA ZAGRANICZNA

Francusko - niemiecki traktat handlowy został podpisany w Paryżu po dłuższych naradach. Opinja niemiecka uważa to za doniosłe wydarzenie, mogące złagodzić tarcie między obu narodami.

W sprawie okupacji Nadrenji przeprowadziły Francja i Anglja wymianę not dyplomatycznych. Francja godzi się tylko na bardzo nieznaczną redukcję wojsk okupacyjnych.

Przeciw akcji lorda Rothermera i rewizji traktatu w Trianon oświadcza się bardzo energicznie Słowaczyzna, nie chcąc powracać pod węgierskie rządy.

Propagandę sowiecką w Marokku zdezawuowały pisma paryskie, ogłaszając dokumenty o wysyłaniu staraniem moskiewskiego Kominternu broni i amunicji riffenom.

Chińskie wojska północne oblegają Nankin. Cudzoziemcy opuścili miasto. Wyjazd rządu nacjonalistycznego spodziewany jest lada chwila.

75-lecie istnienia firmy Fr. Pulsa

Mydła i kosmetyki firmy Fr. Pulsa w Warszawie cieszą się wielką popularnością. W d. 6 bieżącego miesiąca, firma ta święciła jubileusz 75-lecia istnienia. Założył ją Fryderyk Puls w r. 1852. W roku 1892 przeszła ona na własność p. Klementyny Neprosowej. W roku 1901 przedsiębiorstwo to przekształciło się w Towarzystwo Akcyjne. Przewodniczącym został p. Edward Nepros, który tę godność piastuje dotychczas. Członkami Zarządu są pp. dr. Gustaw Litterer i Karol Litterer.

Zakłady akc. tow. Fr. Puls zatrudniają 150 pracowników. Personel techniczny i handlowy składa się z 25 osób. Fabryka mieści się przy ulicy Daniłowiczowskiej. Oddział przy ulicy Gęsiej. Zarząd i skład główny znajduje się przy ulicy Wierzbowej 11.

Jak wiadomo zakłady akc. tow. „Fr. Puls" wytwarzają poszukiwane na rynku: mydła tualetowe, perfumy, wodę kolońską, wodę kwiatową, pudry, kremy, mydło do golenia, środki do zębów i t. p.

W dniu jubileuszu, t. j. 6-8, odprawiona została uroczysta i solenna msza święta w kościele św. Anny, którą celebrował ks. kan. Kaim, poczem nastąpiło poświęcenie fabryki, a po wzniosłem przemówieniu ks. Kaima o treści społecznej, przemówił zwięźle i bardzo pięknie p. Dr. Litterer w imieniu Zarządu, Mag. Dudziński w imieniu personelu i p. Karol Świerczewski i p. Anna Gollerowa — w imieniu pracowników, poczem odbył się bankiet i zdjęcie fotograficzne.

Zasłużonej tej placówce naszego przemysłu, należy życzyć, by owładnęła rynkiem kosmetycznym w Polsce w zupełności. Po co płacić drogie pieniądze za perfumy zagraniczne i kosmetyki, gdy w kraju stać nas na produkcję, która może konkurować z wyrobami nawet paryskiemi!

HUMOR ZAGRANICZNY



MIĘDZY PRZYJACIÓŁKAMI

— Wyobraź sobie on mnie szalenie kocha...

— Czy ci to powiedział?

— Nie, ale zauważyłam, że od jakiegoś czasu stale chodzi za mną detektyw.

Pielęgnowanie cery w lecie

W porze letniej powinno się często spłókiwać twarz gorącą niemal wodą, celem oczyszczenia jej z obfitych wydzielin. Tłustą cerę, skłonną do wągrów i rozszerzania porów, myjcie proszkiem *marmurowym „Miraculum"*, nigdy zaś mydłem, natomiast suchą i normalną — *D-ra Lustra migdałowemi otrąbkami*. Z pudrów polecić możemy jedynie D-ra Lustra puder egzotyczny.

SPROSTOWANIE

W poprzednim zeszycie „Świata" (Nr. 33) pod zdjęciami ilustrującemi otwarcie Kanału Ogińskiego, wskutek nieporozumienia umieszczone zostało nazwisko inż. St. Ihnatowicza, który fotografje powyższe nadesłał. Zdjęcia były wykonane przez p. F. Dąbrowskiego z Wilna.

Redaktor odpowiedzialny St. KRZYWOSZEWSKI

Druk GALEWSKI i DAU, Warszawa